PIRAMID NIE BUDUJE SIĘ OD GÓRY

Z prof. WŁADYSŁAWEM M. TURSKIM, prezesem Polskiego Towarzystwa Informatycznego, rozmawia Marek Rostocki

MAREK ROSTOCKI: — Jedni mówią o rewolucji mikroprocesorowej, inni mikrokomputerowej, jeszcze inni o trzeciej rewolucji przemysłowej. Tygodnik „Time" po raz pierwszy zamiast „człowieka roku" wybrał „maszynę roku" — oczywiście komputer. Przewodniczący Klubu Rzymskiego, Alexander King, twierdzi, że znaczenie mikroprocesora jest większe niż było maszyny parowej. W wielu krajach mikrokomputery można kupić tanio w sklepach typu „szwarc, mydło i powidło". W naszych osiedlowych domach kultury mnożą się kluby mikrokomputerowe. I wszyscy mówią, że to dopiero początek.

WŁADYSŁAW M. TURSKI: — Jest taka opowieść o pastuszku i wilku. Pastuszek nudził się i co jakiś czas wołał: wilk! Przybiegała cała wieś, wilka nie było, sąsiedzi rozchodzili się. I gdy wilk pojawił się naprawdę, nikt w to nie uwierzył. W Polsce za często wołaliśmy, że nadchodzi rewolucja. Słowa bardzo się zdewaluowały.

— A teraz? Jakie jest prawdziwe znaczenie tego, co dzieje się w informatyce?

— Czy współcześni Gutenberga mieli świadomość, że wynalazek druku zapoczątkował rewolucję cywilizacyjną? Przypuszczam, że nie. Nawiasem mówiąc, Polska i wtedy się nie „załapała". W połowie XVI w., a więc u szczytu potęgi: waluta wymienialna, eksport, bogactwo, wiek złoty — drukarze krakowscy, jak Hieronim Wietor, wydawali odezwy błagające, żeby ktoś chciał pisać książki po polsku. Drukarzy od początku było w Polsce znacznie mniej niż w krajach, które potem stały się państwami uprzemysłowionymi i bogatymi. Nie z powodów ekonomicznych Rzeczpospolita jakoś niezbyt interesowała się upowszechnieniem rewolucyjnej techniki druku.

— Wilk!

— To jest rewolucja. Wszechogarniająca i równie podstawowa, jak druk. Dzięki drukowi czytanie stało się dostępne dla każdego. Analogicznie, dzięki taniości komputerów osobistych korzystanie z nich staje się powszechne. W wielu krajach niezły komputer można kupić za równowartość obiadu na dwie osoby w średnio drogiej restauracji. To powoduje, że dziś już dziesiątki milionów ludzi ma nawyk korzystania z komputerów na co dzień. Gdy dzisiejsi uczniowie za 15—20 lat wejdą w dorosłe życie, będzie dla nich całkowicie naturalne, że cały obieg informacji będzie odbywać się za pomocą urządzeń komputerowych.

— Czy zagraża nam więc powstanie bariery informacyjnej i w zakresie środków komunikacji, która utrudni kontakt z tamtą częścią świata?

— Ona już występuje. Jako społeczeństwo nie umiemy sprawnie posługiwać się wieloma tradycyjnymi już zdobyczami cywilizacyjnymi. Choćby telefonem. I żeby uprzedzić pytanie: czyja to wina? Nie mówię o winie. Mówię o faktach. Cały obrót pieniędzmi jest archaiczny — z wyjątkiem Rotundy i Banku PKO SA. Posługiwanie się kartą kredytową i czekiem — to umiejętności u nas prawie nie znane.

— Coraz więcej wiedzy i zapisów kulturowych będzie utrwalanych i upowszechnianych za pomocą informatyki. Jeśli my sami nie przygotujemy odpowiednio zakodowanych informacji o polskiej kulturze, czy ktoś zrobi to za nas?

— Nikt. Z tym, że udział w życiu społeczności międzynarodowej będzie wymuszać przyjmowanie narzucanych nam rozwiązań informatycznych. Bagatela, kwestia języka ojczystego. Jest to język piękny, ale trudny, fleksyjny. Anglosasi, którzy dyktują to, co dzieje się w obiegu informacji komputerowej, nie mają pojęcia o fleksji. Alternatywa rysuje się więc taka: włączeni w systemy informacji komputerowej albo zaczniemy wszystko zapisywać w języku angielskim, albo zrobimy systemy, które będą przetwarzać język polski. To są bardzo trudne zagadnienia. Obawiam się, że informatyzacja wymuszona z zewnątrz byłaby ze stratą dla polskiej kultury.

— O tym w ogóle się nie mówi. Nasze niepokoje o tożsamość kulturową w erze elektronicznej kończą się na video.

— Bo łatwiej jest epatować mikroprocesorami w technice czy grami komputerowymi. Bardzo szczycimy się tym, że choć biedni, uczestniczymy w życiu intelektualnym krajów rozwiniętych. To uczestnictwo może zacząć ograniczać się do życia umysłowego marginesu. Bo oczywiście na Zachodzie są gniewni intelektualiści, dla których informatyka w zastosowaniu do kultury jest dewiacją. I może zdarzyć się, że będziemy w stanie znaleźć wspólny język już tylko z nimi.

— Polskie Towarzystwo Informatyczne istnieje czwarty rok. Co udało się wam zmienić w myśleniu o informatyce? Zgódźmy się bowiem, że to, co pan mówi, brzmi jak strachy na Lachy.

— Chciałoby się powiedzieć, że są przesłanki małego optymizmu. Wzruszające jest to, że kilkunastu rzemieślników produkuje mikrokomputery. Cieszy, że instytuty PAN podejmują projektowanie komputerów osobistych, że powstały pierwsze prototypy. Jakże też nie radować się z daru pana Reitera z Austrii, który oferował 300 mikrokomputerów „Spectrum" Sinclaira dla polskich szkół. To wszystko świadczy o tym, że idea robienia czegoś w informatyce nie jest w społeczeństwie martwa. Jednak nawet najdzielniejsi rzemieślnicy ani najpiękniejsza dobroczynność nie rozwiążą problemu zastosowań informatyki. Może to zrobić tylko tania, masowa produkcja urządzeń komputerowych.

— Jak pan ocenia niedawne decyzje Prezydium Rządu w sprawie rozwoju elektroniki? Nie są to jeszcze przełomowe decyzje, na które czekamy, ale przecież to krok naprzód, pierwszy od dobrych kilku lat.

— Towarzystwo odnotowuje to wydarzenie z dużą uwagą. Dotychczas w Polsce nie potrafiono określić w odniesieniu do informatyki celów zrozumiałych dla społeczeństwa. Polityka państwa w informatyce, jeśli takowa istniała, ograniczała się do sporządzenia listy urządzeń, które należy wyprodukować. Polityka zaś może mieć sens tylko wtedy, gdy określone są jej cele globalne, i to nie w języku techniki. Produkowanie sprzętu to jeszcze nie jest informatyka. Informatyka zaczyna się tam, gdzie są zastosowania.

— Znów winimy centralnego planistę. Ale to przecież wy sami zapisaliście w statucie Towarzystwa, że jesteście przeciwko amatorszczyźnie w informatyce. Czyli i to jest faktem.

— Bywało w przeszłości, że ktoś kupował za ciężkie pieniądze system komputerowy, ponieważ podobały mu się pomarańczowe monitory ekranowe, a gdzie indziej mieli zielone. Było też i tak, że przedsiębiorstwa branży komputerowej były administracyjnie zmuszane do kupowania niekompletnych urządzeń, żeby polepszyć wskaźniki całej branży. Było wiele innych ucieszych historii. Dlatego w statucie stawiamy sobie za cel m. in. walkę z szalbierstwem w informatyce. Będziemy ośmieszać tych informatyków, którzy przychodzą do wojewody i wymądrzają się, że trzeba skomputeryzować szpital, a nie bank, bo oni tak uważają. Umiejętności techniczne nie upoważniają do narzucania celów społecznych, tak samo jak celów społecznych nie wolno zastępować spisem zadań technicznych.

— PTI w swoich ocenach stwierdza między innymi: „w dotychczasowym stosunku władz państwowych i gospodarczych do informatyki i jej zastosowań panował i panuje chaos, brak zrozumienia tego, czego można się po informatyce spodziewać i czego można od niej żądać". Zaczepne sformułowanie.

— Są bardzo rzetelni i uczciwi informatycy, którym słowo „chaos" wydaje się za łagodne. W jednym z dużych zakładów uspołecznionych Polski południowej robiono mikrokomputer, dosyć zresztą nędzny, sprzedano wiele setek egzemplarzy innym zakładom uspołecznionym, po czym produkcję przerwano; serwisu nie ma, oprogramowania nie ma — jest chaos? Wszystko było legalne: zakład coś wyprodukował, wziął za to pieniądze, uciekł w krzaki — wolno. Nie wszystko, co legalne, musi być uczciwe. Ale z punktu widzenia zastosowań to jest chaos, stwarzanie pozoru, że coś istnieje, działa, podczas gdy wszystko sprowadza się do atrapy. Dlatego naszą „obsesją" są zastosowania. Dążymy do powołania Państwowej Agencji Informatyki, która by ukierunkowała zastosowania informatyki.

— Nie dość wam biurokracji?

— Efekty sytuacji, w której produkcja urządzeń komputerowych podlega jednemu ministrowi, oprogramowanie innemu, a zastosowania wszystkim, czyli nikomu — są bardzo niedobre. Poza tym pamiętajmy o doświadczeniach lat siedemdziesiątych, kiedy to każdy watażka przemysłowy rządził na swoim folwarku bez oglądania się na plan centralny, cele społeczne i w ogóle cokolwiek poza partykularnym interesem. To nie powinno się powtórzyć.



Umiejętności techniczne nie upoważniają do narzucania celów społecznych... Fot. Tadeusz POŹNIAK

— Co konkretnie proponujecie?

— Przede wszystkim skończenie z praktyką bezpośredniego wspierania producentów sprzętu komputerowego z Centralnej Dyspozytorni Dóbr. Pieniądze z budżetu państwa na informatykę powinny być przydzielane na konkretne przedsięwzięcia. Jeżeli uzna się, że — ze względów społecznych i politycznych — najważniejsza jest np. komputeryzacja poczty, to pieniądze i środki trzeba dać Poczcie Polskiej. Mogłaby ona zawierać umowy z producentami krajowymi i zagranicznymi na dostarczenie konkretnych urządzeń. Niefortunnie mówiąc, pieniądze z budżetu byłyby przeznaczone „pod" konkretne zastosowania. I niech się teraz krajowi wytwórcy zastanowią, czy wolą robić sprzęt komputerowy dla Poczty Polskiej, czy na eksport. A więc, co tak mocno podkreślam, najpierw musi być określony cel: poczta, bank, a może szpitale, a dopiero potem plan produkcji. Te cele powina ustalać właśnie Agencja, żeby wreszcie była w Polsce jakaś polityka państwowa w zakresie informatyki. Agencja mogłaby też wpływać na politykę celną — wydaje się, na przykład, celowe nałożenie cła eksportowego na sprzęt informatyczny, żeby mniej wywożono z kraju urządzeń, bez których mamy w kraju setki niekompletnych systemów. Proponujemy więc, by Agencja posługiwała się wyłącznie instrumentami ekonomicznymi, a nie nakazami. Czy prof. Baka nie powinien tego pobłogosławić?

— Wspomniał pan o cłach. Towarzystwo domaga się „zniesienia samoograniczeń importowych na sprzęt informatyczny", a dokładniej zwolnienia go z wszelkich wwozowych opłat celnych oraz likwidacji specjalnych zezwoleń na jego przywóz. „Polityka", nic nie wiedząc o działaniach PTI, też postulowała likwidację przepisu o zezwoleniach na przywóz mikrokomputerów. O ile wiem, obowiązek uzyskania zezwolenia wywołuje wśród informatyków, a i naukowców przywożących do kraju kupione za własne dolary mikrokomputery, bo instytucji naukowych na to nie stać, niezadowolenie.

— 8 listopada wystosowałem do Głównego Urzędu Ceł pismo z prośbą o zniesienie tych samoograniczeń, które, notabene, były ostatnio zaostrzone. Przywożony komputer osobisty trzeba było obowiązkowo zostawić na granicy do czasu uzyskania specjalnego zezwolenia na jego wwóz. To trwało 2—3 tygodnie. Z drugiej strony, urzędy celne tych zezwoleń udzielały! Nie znam przypadku odmowy. Można przywozić rajstopy, majtki i kawę, bo w kraju tego brak — i wszyscy to akceptują. A komputerów osobistych nie brak? Może boleśniej niż rajstop. Z dużym zadowoleniem mogę poinformować, że ten biurokratyczny nonsens należy już do przeszłości. Prezes Głównego Urzędu Ceł pismem z 15 listopada poinformował mnie, że „urzędy celne otrzymały dyspozycje udzielania z urzędu, to jest w trakcie odprawy celnej i bez wymagania wniosków zainteresowanych, pozwoleń na przywóz komputerów osobistych i komputerów domowych". Ogłaszam to wszem i wobec.

— To zezwolenia. A cła?

— To jest właściwie śmieszna sprawa. Cło wynosi obecnie 100 złotych polskich od kilograma mikrokomputera.

— Cli się od kilograma?!

— Dokładnie. Wobec tego rodak płaci za mikrokomputer 200—500 zł cła. Śmieszna kwota. Zastanawiam się, czy czas celnika wypisującego kwity nie jest wart więcej. Chodzi nam o to, by likwidując cła na przywóz mikrokomputerów uczynić z tego symbol polityki państwa w zakresie komputeryzacji kraju. Niech ludzie przywożący komputery osobiste wiedzą, że państwo ich popiera.

— Towarzystwo dobija się także o zniesienie ograniczeń w tworzeniu państwowych, spółdzielczych i prywatnych firm w zakresie wytwórstwa oprogramowania, serwisu i doradztwa informatycznego. Jeśli dobrze rozumiem, chodzi wam o oddolny ruch na rzecz komputeryzacji.

— Piramid nie buduje się od góry. Zapotrzebowanie musi płynąć z dołu, od zastosowań. Formalnie nie ma przeszkód, by założyć spółdzielnię wytwarzającą oprogramowanie. Przepisy o tworzeniu warsztatów rzemieślniczych i spółdzielni są zupełnie niezłe. W praktyce, gdy próbuje się założyć firmę programistyczną, zaczyna się tor przeszkód. A co panowie będą robić? Oprogramowanie. No, dobrze, a jak obliczyć od tego podatek? Jaki będzie przerób? Chcemy, by w urzędach — gdy przyjdzie kilku młodych brodatych ludzi w okularach i powie, że oni właśnie w sprawie oprogramowania — byli oni mile widziani. Żeby w urzędach wiedziano, że polityka państwa preferuje w odniesieniu do rzemiosła nie tylko majtki zimowe, ale także wytwórstwo oprogramowania.

— Są chętni do robienia tego?

— Mamy w Polsce sporo zupełnie niegłupich programistów. Dlaczego więc jest źle z oprogramowaniem? Bo to jest produkcja niematerialna: wartość materiałów jest praktycznie zerowa, a zysk jest funkcją wsadu wiedzy, a nie stali czy energii.

— Teoria już dość dawno temu uznała, że nauka jest siłą wytwórczą.

— Ale to wciąż się nie opłaca. Wskazania klasyków interpretuje się u nas niekorzystnie dla nauki. A potrzeby i ludzie są. Towarzystwo za szkolenia, badania, wytwórstwo oprogramowania i ekspertyzy zyskuje rocznie kilka milionów złotych na czysto; bez żadnych dotacji finansujemy działalność statutową. I to przy narzutach tylko 30 proc.

— Znów powiało optymizmem. Te pieniądze dowodzą, że widmo komputeryzacji, mimo wszystko, krąży po Polsce.

— Niekiedy jest to rzeczywiście widmo. Znam wiele przykładów bolesnych zderzeń między rygorami komputeryzacji a rozbabraną rzeczywistością. Choćby LOT: klient widzi kilka terminali do komputerowej rezerwacji miejsc — i jedną panienkę pracującą, a cztery w tle.

— Krąży opinia, że moglibyśmy świadczyć opłacalne usługi eksportowe w zakresie oprogramowania. Rzeczywista szansa czy jeszcze jeden mit?

— W latach siedemdziesiątych jedno z radzieckich przedsiębiorstw, działających na rynkach zachodnich, chciało zatrudnić w swojej firmie consultingowej w Helsinkach kilku naszych programistów. I to okazało się dla naszych działaczy gospodarczych tak nieatrakcyjne, żeśmy z tej oferty zrezygnowali.

Zapotrzebowanie na oprogramowanie w krajach RWPG będzie szybko rosnąć. Takie kraje, jak Bułgaria, Węgry i NRD mają rządowe programy zastosowań informatyki i jest pewne, że ich realizacja stworzy popyt na oprogramowanie. Przykład naszego węgierskiego odpowiednika, Towarzystwa im. Janosa von Neumanna dowodzi, że można wytwarzać oprogramowanie także za dolary, i to niemałe.

— A co z mikrokomputerami w szkołach? Towarzystwo miało ambitne plany. Trzysta sztuk „Spectrum" od pana Reitera zaostrzyło apetyt.

— Wprowadzenie mikrokomputerów do szkół nie powinno mieć na celu żadnych korzyści doraźnych. Chodzi o nawyki, o kulturę, o cywilizację. Niedawno czytałem list nauczycieli z Rzeszowszczyzny, którym kazano uczyć informatyki i którzy proszą o zdjęcie komputera, żeby mieli dzieciom co pokazać. Nie tędy droga. Nie wolno uczyć jeszcze jednej religii. Uczyć można tylko na sprzęcie. Dziecko musi walić w klawiaturę bez obaw, że coś zepsuje, że pan nauczyciel je skrzyczy, musi widzieć na monitorze efekty swojej zabawy lub nauki. Informatyki nie należy w szkołach uczyć, trzeba się nią posługiwać.

— Skąd wziąć mikrokomputery w potrzebnej ilości? Chodzi przecież o setki tysięcy sztuk.

— W Wielkiej Brytanii, którą akurat dobrze znam, 44 proc. dzieci między 12 a 15 rokiem życia ma w domu mikrokomputer. Ale również w Bułgarii do szkół średnich wprowadzono już kilkaset mikrokomputerów firmy Apple. Najpierw kupiono 500 oryginalnych komputerów tej głośnej firmy, a teraz przystąpiono do produkcji licencyjnych Apple'ów dla szkół. Za kilka lat Polak będzie przywoził w prezencie dla rodziny z wakacji nad Morzem Czarnym komputer osobisty. To będzie lepszy interes niż kożuchy.

— Co powinniśmy zrobić, by w Polsce na początku XXI w. była przynajmniej pewna liczba ludzi, którzy nawyk posługiwania się komputerem wynieśli ze szkoły?

— Co robi Towarzystwo? Grzmimy. Jakieś echo tego w świadomości wielu ludzi już jest. Zamierzamy także ufundować najpierw jedno, potem następne laboratorium mikroprocesorowe, które wypożyczymy szkołom o profilu elektronicznym. Zajęcia będą prowadzić nasi specjaliści. To na początek.

— Czy jest do wyobrażenia ogłoszenie przez resort oświaty przetargu na wielkoseryjną produkcję mikrokomputerów dla szkół na preferencyjnych warunkach ekonomicznych? Myślę tu o ulgach podatkowych, przydziale dewiz i tak dalej. Bowiem w przypadku działań rutynowych nie widać raczej szans na szybką poprawę sytuacji.

— Sądzę, że to wisi w powietrzu. Zachód zniósł oficjalnie embargo na 8-bitową elektronikę. To oznacza, że polscy producenci otrzymają wcześniej czy później oferty kupienia linii produkcyjnych np. 8-bitowych mikroprocesorów, których wiodące firmy światowe będą się wyzbywać. Zastrzegam się, że nie mam żadnych tajnych ani poufnych informacji na ten temat. Ale tak będzie, bo tak być musi. Zatem pojawi się możliwość przełamania bariery technologicznej i to stosunkowo tanim kosztem. Rzecz w tym, jak tę sytuację wykorzystamy. Obawiam się, że pojawią się ciągoty do uznania radia czy pralki z mikroprocesorem za kolejny „towar luksusowy", sprzedawany w „Pewexie" lub po bardzo wysokich cenach. Tymczasem chodzi o to, by pierwsza fala mikrokomputerów trafiła do szkół, by ruszyła w Polsce masowa produkcja taniego komputera szkolnego. Bułgarzy już to robią.

— Taka kontrowersyjna sprawa: emigracja młodych informatyków. W ostatnich latach sporo ich z Polski wyjechało.

— Chciałbym zinterpretować to optymistycznie. Czy to źle, gdy Polak za granicą pracuje nie w garkuchni, ale w najnowocześniejszym fachu? Przecież to pokazuje, jak bardzo Polska się zmieniła. Dlaczego wyjeżdżają? To jest najczęściej kombinacja pesymistycznej oceny swych perspektyw materialnych w kraju i zrozumiałej u młodych, ambitnych ludzi chęci zmierzenia się z najlepszymi, sprawdzenia swojej prawdziwej wartości. Zarazem informatycy pracujący poza krajem poprawiają opinię o Polakach. Pamiętajmy, że to jest pierwsza fala emigracji, która konkuruje na Zachodzie jak równy z równym w najnowocześniejszym zawodzie. Jeśli już szukać moralu, to byłby on taki, że w Polsce dokonał się jednak znaczny postęp cywilizacyjny. Smutne natomiast jest to, że ci młodzi emigranci utracili wiarę, oby nie na zawsze, w swe szanse zawodowe w kraju.

Druga przesłanka mego optymizmu wynika z tego, że to nie muszą być dla Polski ludzie straceni. Jestem przekonany, że otwarcie perspektyw w kraju — byle nie lipnych, nie gadanych — spowoduje, że wielu wróci. Wzbogaconych cywilizacyjnie, ze znajomością od wewnątrz tych zjawisk w technice i gospodarce, co do których zgadzamy się, że są rewolucyjne. To może być dla Polski ogromny kapitał. Podczas pobytów za granicą często i długo rozmawiam z tymi, którzy wyjechali — od Australii po Kuwejt, z USA po drodze — i jestem przekonany, że niewiele potrzeba, by wielu wróciło.

— Co to znaczy: niewiele? Przecież oni świetnie wiedzą, ile płaci się za wiedzę tam i tu.

— Chce pan powiedzieć, że różnica jest duża? Nawet bardzo duża. Mimo to wielu wróci, jeśli Polska naprawdę poważnie potraktuje to najdonioślejsze w okresie powojennym wyzwanie technologiczne i — trzymam się tego słowa, jak pijany płotu — cywilizacyjne. Wie pan, co wyczytałem ostatnio na tablicy ogłoszeń u siebie w Instytucie? Że duży zakład przemysłowy na tak zwanej prowincji przyjmie do pracy informatyka, dając mu od ręki mieszkanie. Od trzech lat Polska jest jedynym znanym mi krajem, w którym liczba pracowników zatrudnionych na stanowisku informatyka maleje. A tu proszę: nie dość, że oferta pracy, to i mieszkanie. Dlaczegóż by nie dostrzec w tym symptomu zmiany świadomości naszych menedżerów.

— Niedawno w tygodniku katolickim „Niedziela" znany publicysta, Andrzej Micewski, napisał o „Polakach i mikroprocesorach". Jak widać, świadomość spraw, o których mówimy, jest coraz szersza.

— I będzie. Z opóźnieniem, ale i do Polski docierają informacje o okrutnej wojnie, co prawda bez trupów, jaką toczą w informatyce USA, Japonia i Europa Zachodnia. Bo to jest wojna: z działalnością wywiadów gospodarczych i szpiegami przemysłowymi, z przekazywaniem fałszywych informacji o planach badawczych i inwestycyjnych, z tworzeniem fikcyjnych firm i polityką rządów działających na rzecz stworzenia rodzimym przemysłom jak najlepszych warunków konkurencji na rynku światowym. Wiele krajów uznało, że to jest wojna o bogactwo bądź nędzę, o przyszłość bądź jej brak. A my co, z innego świata?

— Dziękuję panu profesorowi za rozmowę.